

BADŹ CO BADŹ



Strach przed ironią

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy nieznanymi sprawcami przewrócili i ułamali nogę jednej z bezgłowych figur, składających się na projekt „Nierozpoznani” autorstwa Magdaleny Abakanowicz, znana pisarka i popularyzatorka surrealizmu, Agnieszka Tabor-ska, na łamach „Gazety Wyborczej” wyraziła niepokój i szczere ubolewanie z powodu śmiertelnej powagi odbiorców współczesnej sztuki. I wcale się jej nie dziwię, bo kryzys recepcji ironii i czarnego humoru zawarty w surrealizmie pogłębia się z roku na rok, a jego stara wykładnia pozostaje niezmienna.

IGOR WIECZOREK

Większość historyków sztuki zgadza się co do tego, że na początku lat 20, kiedy surrealizm się rodził, państwo polskie było młode i słabe, a przecież jednym z głównych postulatów surrealizmu był bunt przeciwko państwu. Słabość państwa polskiego zobowiązała artystów do obrony tożsamości narodowej, a owo zobowiązanie wzbudziło w nich wielką powagę, jakże daleką od sznyderstwa i makabrycznych żartów zachodnich surrealistów.

I można by na tym poprzestać, gdyby nie pewien szkopuł. Bo jak wytłumaczyć fakt, że ten historyczny konflikt między śmiertelną powagą bojowników o wolność w jej politycznym wymiarze a wiecznie młodą ironią bojowników o wolność w wymiarze psychologicznym, ciągnie się blisko sto lat? Czyż państwo nie może być silne zarówno powagą tradycji, jak i gorzką ironią młodych obywateli, a nie ich stuletnim rozbratem?

A może prawdziwych przyczyn coraz głębszego kryzysu recepcji gorzkiej ironii i czarnego humoru należy szukać gdzie indziej, na przy-

kład w panicznym strachu przed siłą podświadomości, którą surrealiści świadomie eksploatują i prezentują widzom w swych onirycznych obrazach?

Wybitny historyk sztuki, Hans Belting, od dawna lansuje tezę, że obraz zrodził się i zagwarantował sobie miejsce w przestrzeni publicznej dzięki kultowi zmarłych, jako swoiste medium ciała, co musi prowadzić do wniosku, że obraz dopiero wtedy staje się obrazem, gdy jest ożywiony przez widza. Tak rozumiany obraz jest bytem ponadczasowym, ale nie beczasowym, czyli – innymi słowy – jest bytem nadrzeczywistym. To pewnie właśnie dlatego tak trudno się z nim uporać bez odniesienia do jakiejś uniwersalnej zasady, która z natury rzeczy nie mieści się w żadnym obrazie.

H. Belting uważa ponadto, że zarówno kult obrazów zwany ikonodulią, jak i jego zjawisko przeciwne, czyli niszczenie obrazów zwane ikonoklazją, są tylko dwiema stronami tego samego medalu – władzy obrazu nad człowiekiem. Jesteśmy we władzy obrazów, których nie rozumiemy, bo postrzegamy je różnie, zależnie od punktu widzenia.

A jakże znamienity jest fakt, że właśnie ta nasza odrębność w postrzeganiu obrazów, których w rzeczonym sensie współautorami jesteśmy, jest leitmotiwem nikczemnie uszkodzonego zespołu wyniosłych, bezgłowych figur autorstwa M. Abakanowicz.



Te pompatyczne figury zmiernają w różnych kierunkach, lecz mają wspólny kregosłup. Nie widzą siebie nawzajem, a jednak stanowią tłum, anonimowy tłum.

Komu zagraża ten tłum? Prawdopodobnie komuś, kto nie wie, czym jest ironia. Ten ktoś jest normalnym człowiekiem, lecz sądzi, że staje się rzeźbą, na domiar złego, bezgłową. Widzi, że tłum go pochłania, więc stawia zaciętkły opór. Nie jest ikonoklastą ani ikonodulem, ale ikonofobem. Uzdrowić go może jedynie solidna dawka ironii, a problem polega na tym, że trudno ją zaaplikować.

Gdyby nieszczęsny wandal był uzdolnionym rzeźbiarzem, to mógłby wyleczyć się sam, tak jak Jean Tinguely, wybitny szwajcarski twórca samoniszczących się rzeźb. Ten niepopolity człowiek długo cierpiał z powodu powszechnej, głębokiej wiary w ponadczasową moc rzeźb. Drażniła go pycha twórców konkurujących ze śmiercią i ujarzmiających czas. Po wielu latach udręki spróbował się im sprzeciwić. Z podziwu godną finezją dał upust swojej frustracji a jednocześnie ambicji, tworząc „autodestrukty”, czyli zabawne maszyny o

artystycznych kształtach, które wzbijały się w niebo, a potem spadały na ziemię i bardzo spektakularnie, często z ogromnym hukkiem, obracały się w proch. Dzięki „autodestruktom” J. Tinguely wrócił do zdrowia i – co szczególnie ciekawe – zrobił światową karierę jako wybitny rzeźbiarz, piewca tymczasowości. A jednak minął się z celem, który sobie postawił, bo wielki ładunek ironii zawartej w „autodestruktach” nie obrócił się wniwecz i nadal szybkuje w przestworzach ponowoczesnej kultury. Jak ją sprowadzić na ziemię? Tego niestety nie wiemy, bo drąży nas strach przed lataniem.

Pół wieku poetyckiej wierności

Stanisław Nyczaj (ur. w 1943 roku w Nowicy k. Kałusza, Małopolska Wschodnia) zawsze imponuje rozmachem swych dokonań; jest poetą, prozaikiem, autorem kilkudziesięciu książek, prezesuje kieleckim literatom, jest animatorem regionalnego i ponadregionalnego życia literackiego. Trudno mu dorównać. Najnowsza książka poetycka Nyczaja nosi tytuł „Arcymiarą” i jest ukoronowaniem 50-lecia twórczości pisarskiej. Ten złoty jubileusz stawia Nyczaja zasłużenie w czołówce pisarzy polskich, do których należy przykładać, arcymiarę przywołaną trafnie ostatnią publikacją.

Będąc wierny swemu poetyckiemu powołaniu budzi podziw z wielu powodów. Przeżył gehennę i tragedię Kresów. Milczał na ten bolesny temat. Z tego powodu rozstrząsał na najwyższy szacunek. Nie chciał rozdrapywać ran! Dopiero teraz, w „Arcymiarze”, znaleźć można wiersz, kresowy tren. Trzeba go zacytować w całości:

Ocaleni

Drżąc, lecz i łakomą niemowlęcą dłonią,
garnącą się na osłep ku wielkiemu światu,
pochwyciłem w lot z dmącej eskadry bombowców
i poświstu topora w pięści banderowca
los mój niepewny, srogi – bym zdołał oswoić?

Bomby rozdarły północ grzmącym błyskiem w dali.
W sztok pijany oprawca, potknąwszy się, chybił,
zarył spienioną krzakiem nienawiści twarzą
w węglarkę, skroń kalecząc o drzewiczki pieca.

w jednym momencie ze mną wtulonym w ramiona
udało Ci się wymknąć, choć strach dławiał gardło,
i ująć mściwej pogoni w gęsty las ku miastu.

– Nie pamiętam już, synu – mówiłaś po latach –
jak, zmarznięta, zmęczona dobrnęłam do naszych
i świt ozłocił radość, że ocaleliśmy.

Zaciskam los mój w dłoni, Manio, oblaskawiam
łęki, bo wart wszystkiego, co byś mi życzyła.

(sierpień 2010)

Powyższy tekst to cenny aneks do dwóch książek: „Czarna księga Kresów” i „Wołyń we krwi 1943.” Autorką obu jest Joanna Wieliczka-Szarkowa.

Emil Biela